
TRZY FRONTY WOJENNE

**Fabryka się pali * Przyszli Niemcy * Samonauczanie * Holocaust *
Obrona przed UPA * Niepoważne wojsko * Sztukasy**

W dniu 22 czerwca 1941 roku Niemcy rozpoczęły wojnę przeciwko ZSRR. Ludność kresów wschodnich nie była tym zaskoczona, bo wszyscy przewidywaliśmy, że to starcie się dwóch wrogich sobie ideologii nieuchronnie nastąpić musiało. Przeważał pogląd wśród Polaków, dla wielu będący odzwierciedleniem ich nadziei, że oto dwie wrogie Polsce potęgi wzajemnie się wykrwawia i osłabia tak, że warunki zakończenia II wojny światowej dyktować będzie Anglia, oczywiście z korzyścią dla Polski. Ale faktycznie to nikt nie mógł być pewny, jak potoczą się dalsze losy wojny i jego losy osobiste.

Główny wysiłek wojenny armii niemieckich skierowany został na Mińsk i Moskwę, oraz na północ w kierunku Leningradu. Na kierunku Tarnopol, Stanisławów tymczasem niewiele się działo. Przez Monasterzyska nie przechodziły żadne większe oddziały Armii Czerwonej, ani na zachód, ani nie wycofując się na wschód. W rejonie miasta przez kilka dni odbywały się bardzo widowiskowe pojedynki lotnicze, jednakże nie było żadnych innych działań wojennych.

W pierwszych dniach lipca tylne, małe oddziały Rosjan wycofały się z miasta, wysadzając stalowy most kolejowy na Koropc i podpalając fabrykę tytoniu. Widziałem z daleka jak elementy tego mostu powoli wznosiły się i opadały ponad dachami domów i dopiero po chwili usłyszałem łoskot dalekiego wybuchu.

Na okrzyk „nie ma wojska, fabryka się pali!”, wielu ludzi z najbliższych uliczek podożyło do fabryki. Mieszkaliśmy niedaleko i również pobiegłem tam razem z ojcem. Ludzie gromadzili się głównie w rejonie magazynów, to gasząc pożar, to wynosząc bele zmagazynowanego w nich tytoniu. Także my wyciągnęliśmy z jednego palącego się magazynu bele sprasowanego, przesuszonego już tytoniu, przygotowanego do produkcji papierosów. Wózkiem przewieźliśmy cenny ładunek do domu. Był to mniej więcej metr sześcienny tytoniu, który stanowił później, obok gospodarstwa, podstawowe źródło dochodów naszej rodziny.

W międzyczasie przyszła siostra z wiadomością, że niedaleko stacji kolejowej jest wielki magazyn z jajkami. Wzięliśmy wiadra oraz kosze i poszliśmy w dwójkę. Były tam ogromne, betonowe baseny pełne kurzych jaj w roztworze wapiennym. Klęcząc na brzegu zbiornika, nabierałem wiaderkiem te jajka, po czym przelewałem je do zatopionych koszy. Wróciliśmy do domu z pełnymi koszami, z setkami jajek. Na drugi dzień na śniadanie jedliśmy największą w życiu jajecznicę z 30 jaj. Oczywiście nie dysponowaliśmy możliwością długiego ich przechowywania i zmuszeni byliśmy, w miarę szybko, je skonsumentować.

Bezkrólewie, w czasie gdy nie było już Rosjan, a nie przyszły jeszcze wojska niemieckie, trwało kilka dni. Na drugi, czy trzeci dzień, gruchnęła straszna wiadomość. W sąsiedniej wsi Czechów, oddalonej od Monasterzysk ok. 4 km, doszło do pierwszej w okolicy rzezi kilkunastu Polaków, dokonanej przez Ukraińców. Zamordowani zostali w okrutny sposób wszyscy Polacy, mieszkający w tej wsi, bez względu na płeć i wiek, przy czym większość tragedii rozegrała się wewnątrz mieszanych rodzin.

Wówczas po raz pierwszy zorganizowaliśmy, na naszych polskich uliczkach, spontaniczną samoobronę: gongi, warty, siekiery, wiadra na wodę itp. Tyle razy to potem przerabialiśmy. Na dużą skalę pacyfikacje ludności polskiej rozpoczęły się jednak

znacznie później, w połowie 1943 roku.

W tej wsi Czechów kilka miesięcy wcześniej byłem z mamą, żeby w tamtejszej olejarni wytlóczyć olej słonecznikowy dla naszych własnych potrzeb. Była tam bowiem najbliższa, samoobsługowa olejarnia, dostępna dla wszystkich za niewielką opłatą. Pamiętam, że wyglądem wioski byłem wprost przerażony. Stanowiły ją małe chatyny-lepianki, przytulone do siebie wzdłuż szerokiej, rozjeżdżonej, błotnistej drogi. Wszystkie kryte słomą, z małymi okienkami i drzwiami. Jedyne większe obiekty we wsi to była właśnie ta olejarnia o drewnianej konstrukcji, z halą, w której środku znajdowało się urządzenie do wytłaczania oleju. Prawdopodobnie pochodziło ono jeszcze z XIX wieku. Poruszane było siłą ludzką przy pomocy jakby kierału. Do mnie ta praca należała, mama zaś dogadywała się z właścicielem.

Wokół hali, pod ścianami znajdowały się ciągle ławy. Pomieszczenie to bowiem było równocześnie świetlicą - miejscem spotkań mieszkańców wioski, zwłaszcza młodzieży. W tym czasie także było tam kilka osób. Gdy z mamą czekaliśmy na swą kolejkę do wytłaczarni, i również w czasie samej pracy, nie odezwałem się ani słowem, by nie zdradzić, że jesteśmy Polakami.

Później, już pod koniec niemieckiej okupacji, wieś ta spłonęła niemal doszczętnie w ciągu kilku godzin. Pożar spowodowany został jedną, jedyną bombą zapalającą, zrzuconą z samolotu na skraju wioski. Panował wtedy silny wiatr, wiejący w kierunku zabudowy, i nie było żadnych szans na ratowanie od ognia wysuszonych słomianych strzech i drewnianych pował.

Tymczasem przyszli Niemcy i Węgrzy. Też nie pamiętam wielkich rzesz wojska. Natomiast bardzo szybko naprawiono, a raczej wybudowano nowy, prowizoryczny most kolejowy na rzece Koropiec i za kilka dni ruszyły linią kolejową na wschód transporty z wojskiem, czołgami, artylerią oraz innym sprzętem i zaopatrzeniem wojskowym.

Te wojskowe transporty towarzyszyły nam potem przez prawie 3 lata. Od ich intensywności można było ocenić natężenie walk na wschodnim froncie. Składy pociągów liczyły często po 50 wagonów, ciągnionych przez dwie duże lokomotywy parowe. Zwykle pierwsza miała na przedzie wielki znak „V”, będący pierwszą literą łacińskiego słowa „Victoria”, oznaczającego zwycięstwo. Ten znak był zresztą używany przez niemiecką propagandę na plakatach, w kronikach filmowych oraz przez żołnierzy, jadących w wagonach czy samochodach i robiących palcami „króliczka” na użytek mijanej ludności. Do czasu!

Administracyjnie tereny byłych południowo-wschodnich województw: lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego włączone zostały do Generalnego Gubernatorstwa, obejmującego również pozostałe centralne i zachodnie tereny Polski, poza przyłączonymi do Rzeszy Niemieckiej. Te trzy województwa stanowiły tzw. Dystrykt Galicyjski. Zarządzany on był z Krakowa przez niemieckiego gubernatora Hansa Franka i jego rząd.

Wbrew nadziejom społeczności ukraińskiej, Niemcy nawet nie myśleli o utworzeniu „samostijnej” Ukrainy. Całe swe zainteresowanie dystryktem skierowali na utworzenie aparatu eksploatacji gospodarczej oraz aparatu policyjnego, który miał umożliwić tą eksploatację i zwalczać wszelki opór ze strony miejscowej ludności.

W tym celu, po przejściu armii frontowych, instalowano, zwłaszcza w większych ośrodkach miejskich, wojskowo-cywilne grupy do zadań specjalnych tzw. Einsatzgruppen. Nie były one liczne, wspomagane dlatego dorywczo przez jednostki Wehrmachtu, za to wyspecjalizowane do określonych zadań: gospodarczych, grabieży dóbr kulturalnych, zabezpieczenia siły roboczej, wyniszczania określonych kategorii ludności. To ostatnie dotyczyło zwłaszcza wszystkich Żydów, jeńców rosyjskich, komunistów oraz

uczonych i intelektualistów polskich. Te eksterminacje realizowane były z różnym natężeniem przez cały okres okupacji. Lecz już w lipcu 1941 r. zmroziła Monasterzyska wieść o rozstrzelaniu we Lwowie trzydziestu kilku profesorów wraz z ich rodzinami.

Mimo ewidentnej „zdrady” przez III Rzeszę sprawy niepodległej Ukrainy, przynajmniej w oczach części zawiązanych Ukraińców, Niemcy, realizując zasadę całkowitego podporządkowania sobie Galicji, oparli się na nacjonalistach ukraińskich. Wykorzystywali ich nienawiść do Polaków, Żydów i Rosji radzieckiej. Przy czym sami tę nienawiść ciągle podsycali.

Po pewnym czasie w miasteczku zainstalowało się kilku Niemców, którzy sprawowali naczelną władzę, mając do dyspozycji administrację i policję ukraińską. Zmienił się, oczywiście, skład osobowy lokalnych organów władzy, z jednych Ukraińców na drugich, ale dla ludności polskiej nie miało to większego znaczenia. Natomiast radykalnie na gorsze odmienił się los ludności żydowskiej.

Pewna część Żydów, zwłaszcza tych bogatszych i zaangażowanych w pełnieniu różnych stanowisk, ewakuowała się w ostatnich dniach czerwca do ZSRR, podobnie jak nieliczni napływowi Rosjanie.

Ale absolutna większość biedoty żydowskiej, tej wielkiej rzeszy drobnych rzemieślników i kupców, pozostała na miejscu. Ich czekały represje i szykany od pierwszych dni rządów niemieckich. I to nie tylko z rąk czy na rozkaz samych Niemców, ale również z rąk i z inicjatywy nacjonalistów ukraińskich. Rekwirowali oni mienie i mieszkania rodzin żydowskich, jak również rugowali Żydów z ich sklepów i warsztatów rzemieślniczych, przydzielając je sobie samym.

W sierpniu władze niemieckie wydały rozporządzenie zobowiązujące całą ludność żydowską do noszenia na ubraniu, na lewej piersi, naszywek z żółtego materiału w kształcie sześcioramiennej gwiazdy Dawida, z czarnym okonturowaniem. Zaś później, w ciągu kilku miesięcy, została ona stłoczona w getcie, utworzonym w centrum miasteczka.

Moja rodzina faktycznie nie odczuła większych zmian w swym życiu. Zajmowaliśmy się nadal głównie swymi licznymi pracami w polu i w gospodarstwie. Natomiast skończyły się możliwości dalszej edukacji szkolnej, zwłaszcza dla mnie. Z nastaniem nowego roku szkolnego okazało się, że nie będzie żadnych ponadpodstawowych szkół dla ludności polskiej. Zgodnie z dalekosiężnymi planami Hitlera, Polacy mieli stanowić kastę robotników i pracowników fizycznych na użytek Wielkiej Rzeszy i nowej Europy w epoce zwycięskiego faszystu. Do tego wykształcenie średnie i wyższe było zbędne. Uruchomiono jedynie w dużych miastach szkoły handlowe, dostępne dla Polaków.

Do takiej 1-roczej Zawodowej Szkoły Handlowej w Stanisławowie zapisała się moja siostra. Do Stanisławowa dojeżdżała codziennie pociągiem, podobnie jak dwa lata wcześniej. Ponieważ było to bardzo uciążliwe, więc w pewnych okresach czasu mieszkała na stacji. Później pracowała jako księgowa w Monasterzyskach w Rolniczej Spółdzielni Handlowej.

Część młodzieży w naszym miasteczku kształciła się na różnych nielegalnych kursach, bądź korzystała indywidualnie z prywatnych wykładów. Ja przez cały czas pobytu Niemców, w miarę istniejących możliwości, doksztaltałem się jako samouk. Przede wszystkim korzystałem z książek siostry z poprzedniej ósmej klasy, zaś na bieżąco ze szkoły handlowej. Oczywiście tylko z niektórych przedmiotów, takich jak matematyka, przyroda, geografia, język niemiecki. Ale również ze stenografii, której podręcznik posiadała siostra. Przez kilka miesięcy bardzo intensywnej nauki opanowałem biegle pismo stenograficzne wg systemu J. Polińskiego z połowy XIX wieku. Pisałem 100 słów na minutę, czyli z szybkością potocznej mowy. Ta niecodzienna, rzadko spotykana,

umiejętność pozostała mi do dziś.

Zgłębiałem również podręcznik astronomii, jaki pożyczyłem od kolegi. Wg map gwiazdnych rozpoznawałem gwiazdozbiory i gwiazdy na niebie, zaś wg tabel, podających deklinacje i rektascencje najlepiej widocznych planet, odszukiwałem ich położenie. Obserwacji dokonywałem w różnych godzinach nocy. Wtedy starałem się nocować na stryszku w budynku gospodarczym i dla obserwacji nieba usuwałem kilka dachówek w dachu.

Chcąc przyswoić sobie słówka obcego pochodzenia z encyklopedii, przepisałem wszystkie do dużego zeszytu. Podobnie, ucząc się niemieckiego, przepisywałem całe fragmenty z podręcznika. Do dziś mam te zeszyty zapisane maczkiem fioletowym atramentem.

Uczyłem się również gry na skrzypcach. Ojciec miał dobre, stare skrzypce jeszcze z czasów swej młodości. Znał kilka skocznych poznańskich melodii ludowych, które od czasu do czasu grywał ku pokrzepieniu ducha. Mnie lekcji gry na skrzypcach udzielał młody Janko Muzykant, jak go wszyscy zwali, grywający na weselach i zabawach w miasteczku. Nie znał on nut, to też czytania nut nauczyłem się sam z podręcznika. Ostatecznie grywałem z nut, nawet z upodobaniem, piękne walce wiedeńskie J. Straussa i inne melodie, ale najwyraźniej bez polotu i chropawo. Po prostu do skrzypiec, jak i zapewne do innych instrumentów, trzeba mieć słuch i talent. Mnie tego najwyraźniej brakowało.

Oczywiście ta cała przypadkowa samoedukacja nie mogła zastąpić regularnej nauki w normalnym gimnazjum. Ale i tak znajdowałem się w korzystniejszej sytuacji niż wielu innych moich rówieśników, którzy nie mieli choćby dostatecznych warunków materialnych i czasu na jakąkolwiek naukę albo odpowiednich predyspozycji do samokształcenia się.

Wiele czasu poświęcałem też na rysowanie, zwłaszcza na malowanie akwarelowych obrazków. Niektóre z nich mam do dziś na ścianach mego mieszkania. Sporo czytałem, różne wypożyczane z biblioteki książki, ale też dwa roczniki „Kurier Warszawskiego” z ostatnich lat przedwojennych. Były dla mnie kopalnią wiadomości o Polsce, których na bieżąco, jako zbyt młody, nie śledziłem.

Szczególnie interesowały mnie artykuły o gospodarczych problemach i rozwoju kraju. Nie były one zbyt budujące. Wiele pisano o realizacji kilku, czy kilkunastu, obiektach przemysłowych w nowotworzonym COP tj. Centralnym Okręgu Przemysłowym oraz o rozbudowie portu i miasta Gdyni. I to były niewątpliwie osiągnięcia. Lecz bardzo dużo było też relacji o panoszącym się w Polsce bezrobociu i świadczących o mizernym stanie polskiej gospodarki w ogóle.

Pamiętam np. reportaż o niszczącym nasypie przerwanej budowy linii kolejowej z Rozwadowa na południe oraz o kopalni boksytów, gdzieś w Kieleckiem. Te ostatnie wydobywano prawie bez użycia maszyn i następnie transportem konnym przewożono kilkadziesiąt kilometrów do najbliższej stacji kolejowej. W końcowym efekcie uzyskiwano niewielkie ilości drogiego kwasu siarkowego. A przecież już wtedy produkcja tego kwasu była jednym ze wskaźników uprzemysłowienia i rozwoju technicznego krajów. Gdyby porównać tę przedwojenną produkcję kwasu siarkowego do wielkości osiągniętych potem w Polsce Ludowej, to mielibyśmy mniej więcej proporcję pchły do słonia.

Jednak przede wszystkim pracowałem sezonowo w polu, zaś stale w domu, pomagając rodzicom w prowadzeniu gospodarstwa, będącego przecież podstawą naszego bytu. Do moich obowiązków doszło jeszcze krajanie tytoniu i wyrób papierosów. Mianowicie ten tytoń, jaki „uratowaliśmy” z palących się magazynów fabryki tytoniowej, kroilem na małej gilotynie na drobną krawankę. Można ją było używać do ręcznego skręcania papierosów. Papierosy robiłem przy pomocy małej maszyny, którą wy-

pełniało się tą krajanką, a następnie wypychało tytoń do skleionej bibułki. Te papierosy i tytoń to była nasza waluta, na którą zawsze znajdowali się chętni, zwłaszcza żołnierze.

Informacje ze świata uzyskiwaliśmy od zaprzyjaźnionego sąsiada p. Piotrowicza, który przychodził do nas często, aby pograć z rodzicami lub ze mną w szachy. Miał on ukryte radio i słuchał wiadomości nadawanych w języku polskim z Londynu. Narażał się bardzo, gdyż za posiadanie radioodbiorników w czasie okupacji niemieckiej groziła Polakom kara śmierci. Mieliśmy jednakże, w miarę wiarygodne, informacje o tym, co dzieje się na frontach wojennych. Wiedzieliśmy, między innymi, że jeszcze latem 1941 r. zawiązana została Wielka Koalicja państw, walczących przeciwko państwu Osi, obejmująca głównie Wielką Brytanię i ZSRR, zaś wspomagana przez Stany Zjednoczone w ramach tzw. Karty Atlantycznej.

Radio londyńskie podawało też obszernie wiadomości o działalności emigracyjnego rządu londyńskiego gen. Władysława Sikorskiego. W lipcu, po wznowieniu polsko-radzieckich stosunków dyplomatycznych, zawarł on układ, w ramach którego miała powstać w ZSRR samodzielna armia polska. Cała społeczność polska bardzo sprzyjała Sikorskiemu i wiązała z nim swe nadzieje na odbudowę państwa polskiego. Natomiast powszechnie potępiano rządzących do 1939 r., obarczając ich winą za złą gospodarkę, błędną politykę i klęskę wrześniową.

W ogóle często odwiedzali nas zaprzyjaźnieni sąsiedzi i znajomi, gdyż rodzice prowadzili, można by powiedzieć, nieco przesadzając, „otwarty dom”. Celem tych wizyt było zaciąganie porady w sprawach kulinarnych u mamy, zaś gospodarczych u ojca, jakieś drobne pożyczki, wzajemna wymiana usług i towarów, wreszcie podzielenie się informacjami lokalnymi i ze świata. Mama zawsze dla gości wyczarowywała skromny poczęstunek, często spotkania zwieńczone były grą w szachy, a zwłaszcza w karty. Grało się w tysiąca, sześćdziesiąt sześć, rzadziej w oczko lub skata za pieniądze. Ojciec wtedy przeważnie wygrywał, bo miał w tej karcianej profesji duże wyczucie i szczęście.

Niekiedy kupowaliśmy gazety, zwykle lwowskie. Nazywało się je szmatławcami lub gadzinówkami. Również podobnie niesympatycznie wyrażano się o megafonach, rozwieszonych na słupach w Rynku i nadających wiadomości dla ludności po polsku i ukraińsku. Nazywano je szczekaczkami.

Chodziłem też, chociaż bardzo rzadko, do kina. Filmy poprzedzane były przez tygodniki z najnowszymi wiadomościami z frontów. Zaczynały się one od słów: „Naczelne dowództwo Wehrmachtu informuje ...”. Niemcy straszliwie blefowali, na przykład własne cofanie się na froncie było zawsze tylko zajmowaniem nowych, dogodniejszych pozycji, zaś swe zwycięstwa mocno koloryzowali.

Pamiętam tylko jeden film pełnometrażowy z tego okresu: melodramat w bawarskiej scenerii pt. „Krzywoprzysięstwo”. Film kończył się sceną zasypania krzywoprzysięzcy lawiną kamienną, z której wystawała dłoń z palcami, złożonymi jak do przysięgi.

Nadal przyjaźniłem się z Jurkiem, swym dotychczasowym najlepszym kolegą szkolnym, ale spotykaliśmy się rzadko. Również przygasty moje sąsiedzkie koleżeństwa.

Późną jesienią 1941 r. nawiedziło Monasterzyska nieduże trzęsienie ziemi, którego epicentrum znajdowało się niedaleko w Karpatach rumuńskich. Tu i ówdzie w mieście były niewielkie szkody. Trzęsienie miało miejsce w nocy. Obudziliśmy się wszyscy, odczuwało się wyraźnie drżenie sprzętów i kołysanie lampy. Trwało to, z przerwami, przez kilka minut i sprawiało niesamowite wrażenie, uczucie strachu, oraz bezradności i bezsilności wobec zjawiska.

Zima tego roku była bardzo mroźna i długotrwała. Pod tym względem wyróżniała się nawet w stosunku do ówczesnych zim, zwyczajnie zawsze mroźnych oraz śnieżnych. Mrozy dochodziły do 40-kilku stopni poniżej zera, wszystkie rzeki i stawy pokrywała gruba warstwa lodu. Mimo to zdarzało się, że chodziłem bez nakrycia głowy, bo nie podobąca mi się kolorowa, wełniana marusarzówka z pomponikiem, zrobiona przez mamę. W efekcie odmroziłem sobie uszy, które potem przez wiele lat czerwieniły mi się przy zmianach temperatury.

Ojciec zainstalował wtedy w jednym pokoju dodatkowy żelazny piecyk tzw. żeleżniak. Paliliśmy w nim do czerwoności, oraz spaliliśmy pod grubymi pierzynami. Kury trzymaliśmy w przedsionku, natomiast krowa w obórce opatulona była kocami. Również drzewka owocowe w ogródku ojciec ogacił wiechciami słomy. Szyby w oknach pokryte były grubym, wzorzystym lodem, w którym ja, codziennie rano, wydmuchiwałem ciepłym oddechem dziurkę-wizjer na oszroniony świat.

Jeszcze większe mrozy panowały w głębi Rosji, gdzie na rozległych terenach od Murmańska po Morze Azowskie trwały gigantyczne zmagania milionowych armii państw „Osi” i ZSRR. Właśnie te siarczyste mrozy i śniegi przyczyniły się w grudniu do pierwszej dużej porażki Niemców pod Moskwą. Liczyli oni bowiem na pokonanie Rosji w błyskawicznej wojnie przed nastaniem zimy i nie przygotowali się do niej dostatecznie. W konsekwencji „generał Mróz” sprawił, że unieruchomione zostały ich czołgi i wszelkie pojazdy mechaniczne, zaś żołnierze, pozbawieni ciepłego umundurowania, po prostu zamarzali w okopach. W Monasterzyskach wówczas policja dokonywała rewizji po domach i rekwirowała kożuchy, futra itp.

W grudniu 1941 r. nastąpiła też eskalacja II wojny światowej, gdy Japończycy zbombardowali bazę morską USA w Pearl Harbor na Hawajach, a następnie rozpoczęli podbój południowo-wschodniej Azji, Filipin i wielu innych wysp na Pacyfiku, będących w kolonialnym posiadaniu W. Brytanii, Francji, Holandii i Stanów Zjednoczonych. Spowodowało to bezpośrednie przystąpienie USA do wojny przeciwko Japonii i blokowi państw faszystowskich w Europie. W ślad za nimi uczyniły to samo Meksyk, Brazylia i wiele innych państw obu Ameryk.

Po ciężkiej zimie, wiosna 1942 r. przebiegała pod znakiem wielkich roztopów oraz powodzi. Wylał również potoczek, płynący obok naszego domu, zalewając łąki, położone naprzeciwko naszego domu, aż do torów kolejowych. Zaś na przednówku w całym dystrykcie galicyjskim zapanował głód. Moja rodzina nie odczuwała tego prawie zupełnie. Mieliśmy zapasy własnej kukurydzy, pszenicy, słoniny, zaś krowa, kury, wreszcie ogródek warzywny żywiły nas na bieżąco.

Jednakże rodziny miejskie, zdane na ciągle zaopatrywanie się w żywność w sklepach, znalazły się w wielkich tarapatach. Ustały prawie całkowicie dostawy produktów rolnych ze wsi, gdyż były one bezlitośnie grabione przez specjalne oddziały niemieckie, które rekwirowały całą żywność, jaką znajdowały w obejściach. Za jej ukrywanie Niemcy stosowali różne drakońskie kary ze śmiercią włącznie. Głodowała więc także część ludności wiejskiej i brakowało potem ziarna na siew.

Na skutek panującego głodu zmarły w dystrykcie tysiące ludzi. Głód dotknął dramatycznie również mieszkającą niedaleko nas mieszczańską rodzinę, mającą czworo dzieci. Wynajmowali oni spory ogród, ale zawsze uprawiali go nieumiejętnie. On był z profesji notariuszem i nie miał możliwości pracy zawodowej. Żona miała arystokratyczne pochodzenie i też nigdzie nie pracowała zarobkowo. Byli bardzo niezaradni życiowo, jak na tamte bezlitosne czasy. Udzielaliśmy im trochę pomocy żywnościowej, ale ich było sześcioro i potrzeby mieli wielkie.

Pamiętam, jak przychodził do mnie codziennie najstarszy, już ok. 20-letni syn, który

zabierał worek ściętej przeze mnie sierpem na brzegu potoku, a następnie pokrajanej na sieczkarni, świeżej, soczystej pokrzywy. Dziwiłem się, że w tych czynnościach nigdy mi nie pomagał, a tylko stał i patrzył jak ja pracuję. Ja na jego miejscu nie zachowywałbym się tak beczynnie, ale nic mu nie mówiłem. Na tej pokrzywie i na zmarzniętych, nieumiejtnie przechowywanych, ziemniakach gotowali zupe, jaka stanowiła chyba ich podstawowe pożywienie. Wszyscy byli popuchnięci z głodu, mieli duże, wzdęte brzuchy i pomarszczone, żółte twarze.

Gdy więc w 1981 r. w Krakowie odbył się tak zwany „marsz głodowy”, zorganizowany przez NSZZ „Solidarność” - poszedłem zobaczyć ten marsz ze zrozumiałą ciekawością. Wróciłem rozśmieszony, gdyż znaczna część maszerujących miała wprawdzie duże brzuchy, ale policzki różowe i nie pomarszczone.

Wkrótce dopełnił się tragiczny los ludności żydowskiej w Monasterzyskach, jak również w całym dystrykcie. Już od sierpnia 1941 do lata 1942 r. rodziny żydowskie przesiedlano i wywożono z miasta do jakichś robót, zaś najczęściej do obozów koncentracyjnych, o których istnieniu oni sami, jak również pozostała ludność, właściwie nie wiedzieliśmy. Latem 1942 r. specjalne niemieckie oddziały „Einsatzkomando” przystąpiły do całkowitej likwidacji pozostałej ludności żydowskiej. Umęczonych ludzi zabijano strzałami z karabinów na cmentarzu żydowskim, położonym na skraju miasta, lub na miejscu, w domach i na ulicach. Po tych potwornych pacyfikacjach, prowadzonych przy udziale policji ukraińskiej do października 1942 roku - w Monasterzyskach przy życiu pozostało bardzo niewiele osób narodowości żydowskiej. Część z nich ukrywała się w polskich domach, część uciekła w okoliczne lasy.

Przez jakiś czas i u nas ukrywał się pewien lekarz, zbiegły wcześniej z Berlina, mówiący tylko po niemiecku. Zobaczyłem go przypadkowo przerażonego, ukrytego w sianie na stryszku. Nie wiem, jak długo u nas przebywał i gdzie potem się udał. Nie pytałem rodziców, nie powiedziałem im nawet, że wiem, że się u nas ukrywa. Znałem go stąd, że jesienią 1941 r. był u nas w domu, sprowadzany przez naszego sąsiada. Panowała wówczas epidemia grypy i lekarz ten leczył wszystkich chorujących oraz profilaktycznie. Stosował własną, bardzo prostą metodę leczenia. Mianowicie osłuchiwał przez słuchawki lekarskie pacjenta i następnie rozprasowywał określone partie pleców przy pomocy gorącego żelazka.

Zapewne rodzice bardzo się obawiali nie tylko rewizji policji, lecz również jednego z sąsiadów, Polaka-konfidenta, który poszukiwał ukrywających się Żydów. W jego obecności nie wolno mi było nic mówić. Zwykle mama zabawiała go grzecznościową rozmową, unikając wszelkich dygresji politycznych, gdyż miał on faszystowsko-nacjonalistyczne przekonania.

Faktycznie raz przeprowadził u nas rewizję żandarm niemiecki w asyście policjanta ukraińskiego. Ja byłem wówczas w ostatnim pokoju i przechodziłem na werandę, gdy zobaczył mnie policjant, wchodzący akurat do tego pokoju. Najwidoczniej pomyślał, że jestem żydowskim chłopcem i wycelował we mnie karabin. Miałem bowiem kręjące się włosy, typowe dla narodowości żydowskiej. Lecz ojciec, idący obok, złapał za karabin i uchylił go w dół, krzycząc po niemiecku: „Das ist mein Sohn!”.

Z powodu swego wyglądu nie wychodziłem w ogóle z domu, w tych okropnych miesiącach. Zaś do pola przez miasto udawałem się zawsze co najmniej w towarzystwie ojca. Natomiast w domu na strychu miałem bardzo przemyślny schowek. Otóż drewniana weranda, przybudowana od frontu do budynku, miała sufit na wysokości ok. 70 cm poniżej polepy strychu. Zrobiłem nad nim drugi stropik z desek i wciskałem się w tą przestrzeń, nasuwając kilka luźnych desek nad siebie. Wpierw musiałem przecisnąć się przez ołacenie dachu, w którym kawałek łaty skrycie się uchylało. Oczywiście był to

dobry schowek przed ludźmi, ale nie przed psem.

Z tego okresu pamiętam też nieludzką scenę z głównej ulicy miasta. Przechodząc z muru fabryki tytoniowej na główną ulicę miasteczka, zobaczyłem biegnącego truchtem starego Żyda, do którego doskakiwał wielki, czarny wilczur, gryząc go w krwawiące łydki. W niewielkiej odległości szli sprężystym krokiem dwaj młodzi, przystojni i wymuskani podoficerowie niemieccy, najwidoczniej bardzo zadowoleni z siebie oraz rechocący coś głośno. Kierowali się wszyscy w stronę nieodległego cmentarza żydowskiego.

Społeczność polska była bezradna w stosunku do okrutnej eksterminacji ludności żydowskiej. Sama zresztą była sparaliżowana i zagrożona przez mnożące się wrogie wystąpienia podziemia ukraińskiego.

Rok 1942 był nadal przychylny państwu Osi, przynosząc im dalsze wielkie zwycięstwa na prawie wszystkich frontach II wojny światowej. Niemiecki Afrika-Korps odnosił błyskotliwe sukcesy w pancernych bitwach na piaskach Libii, zaś niemieckie okręty podwodne, topiąc setki statków i okrętów alianckich, paraliżowały w znacznym stopniu dowóz przez Atlantyk sprzętu wojskowego z USA do Europy. Również na froncie radzieckim dywizje Wehrmachtu parły wciąż zwycięsko na wschód, dochodząc do Wołgi, Donu i gór Kaukazu. Oczywiście te wszystkie wspaniałe zwycięstwa oręża niemieckiego oglądaliśmy niezwłocznie w kolejnych tygodnikach filmowych. Pamiętam na przykład, jak w jakiejś kronice pokazano wejście grupy żołnierzy niemieckich na Elbrus, najwyższy szczyt Kaukazu. Zaś potem niekończące się kroniki o walkach w Stalingradzie.

Pojedyncze, rozproszone napady i mordy Polaków, dokonywane przez Ukraińców, zdarzały się przez cały czas okupacji niemieckiej. Były one organizowane przez różne nacjonalistyczne organizacje ukraińskie, z których największą stanowili banderowcy pod kierownictwem Stepana Bandery. Stąd, już do końca, to jest do 1944 roku, o wszystkich napadach na Polaków mówiło się, że są dziełem banderowców.

Miedzy innymi, pewnej nocy zimą 1941/42 r., uprowadzeni zostali ze swych mieszkań w Monasterzyskach dwaj Polacy, lekarz i nauczyciel, a następnie wywiezieni z miasta na saniach. Wszyscy domyślaliśmy się, że było to dzieło banderowców, ale wszelkie interwencje na policji ukraińskiej nie odnosiły żadnego skutku. Dopiero po wielu tygodniach odnaleziono w okolicznym lesie zmasakrowane torturami zwłoki obu porwanych.

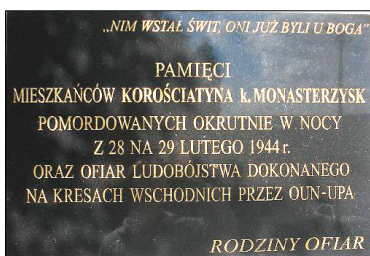
Pacyfikacje ludności polskiej na dużą skalę nastąpiły po utworzeniu pod koniec 1942 r. skrajnie nacjonalistycznej Ukraińskiej Powstańczej Armii. Te masowe rzezie ludności polskiej rozpoczęły się wprawdzie na Wołyniu. W drugiej połowie 1943 r. ogarnęły pozostałe województwa: stanisławowskie, tarnopolskie i lwowskie. Spalone zostały prawie wszystkie wsie polskie, zaś ich ludność, która wcześniej nie uciekła do miast, wymordowana w okrutny sposób. Napady te zwykle przedstawiano w lokalnych gazetach jako dzieło band bolszewickich. Niektórzy publicyści, nie tylko ukraińscy, próbują dzisiaj przytaczać i powoływać się na te enuncjacje z ówczesnych niemieckich szmalców.

UPA z równą zawziętością likwidowała uciekinierów żydowskich, chroniących się po lasach, jak i, zwłaszcza w późniejszym okresie, wszelkie oddziały partyzantki antyniemieckiej: polskie, rosyjskie, a także ukraińskie. Było też powszechnie wiadomo, że UPA zaopatrywana była w broń i amunicję przez Niemców. Chyba istniały również wzajemne porozumienia, że ma ona wolną rękę na terenach wiejskich, lecz nie wolno jej palić i grabić miast. Inna rzecz, że faktycznie ludność polska w miastach zdecydowanie przeważała ilościowo i mimo represji policji ukraińskiej i niemieckiej, dysponowaliśmy dużą ilością broni i strukturami samoobrony. W tym główną rolę spełniała konspira-

cyjna organizacja wojskowo-polityczna Armia Krajowa. Zaś broń kupowana była „na lewo” od Niemców.

Ten bezmiar nienawiści, ujawnionej przez Ukraińców do Polaków, był dla wielu trudny do zrozumienia. Niewątpliwie, istniejący pomiędzy obu narodowościami podział społeczny stwarzał, już sam w sobie, poczucie odrębności i krzywdy oraz konflikty między obu nacjami. Dokładała się do tego błędna, bez mała kolonizatorska, polityka państwa polskiego w stosunku do mniejszości ukraińskiej. Lecz ostatecznie w okresie międzywojennym nie było otwartych prześladowań społeczności ukraińskiej.

Nikt nie szykanował jej za wyznawanie odrębnej wiary prawosławnej, czy greckokatolickiej. Rozwijały się różnego rodzaju ukraińskie stowarzyszenia społeczne, ruch spółdzielczy, przybywało szkół wszystkich typów i wzrastała liczebność wykształconej elity ukraińskiej. Właśnie część tej elity, jeszcze przed wojną, związała się z Niemcami hitlerowskimi, licząc na uzyskanie niepodległości przy ich pomocy. Szczególnie współpracowała z Niemcami, utworzona we Wiedniu w 1929 r. terrorystyczna Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Reprezentowała ona skrajny nacjonalizm, przejęła też faszystowskie metody działania, zaś w późniejszym okresie postawiła na eksterminację ludności polskiej. Dzieło to realizowały właśnie kurenie UPA.



Zimą 1943/44 r. spalona została nocą duża, polska wieś Korosciatyn, położona ok. 10 kilometrów od Monasterzysk. Widzieliśmy z miasta lunę i domyślaliśmy się, że banderowcy palą kolejną polską wieś. Na stacji kolejowej akurat stał mały pociąg pancerny. Gdyby pojechał od razu w kierunku wioski, która leżała przy torach kolejowych, to może Niemcom udałooby się zmniejszyć rozmiary tragedii. Ale pociąg pojechał dopiero rano o świcie, chyba tylko po to, aby sfotografować pogorzelisko. Zdjęcia te widziałem za kilka dni w gazecie z opisem, że napad dokonany został przez bandę bolszewicką. Zginęło wówczas ponad 100

Ku pamięci Korosciatynia

mieszkańców wsi, których popalone zwłoki nazajutrz oglądała moja siostra, wysłana rozkazem AK, celem określenia skutków napadu banderowców.

W mieście, zwłaszcza na peryferyjnych uliczkach, Polacy organizowali samoobronę. Polegała ona na tym, że przez w nocy czuwały warty i patrole, sprawowane rotacyjnie przez mężczyzn. W określonych punktach zawieszane były gongi, to jest sztaby żelazne z przywiązanymi metalowymi prętami, które miały służyć do ogłaszania alarmu. Mieszkańcy ulicy na noc chronili się do większych murowanych domów. Wyciągano też ze schowków wszelką możliwą broń do ewentualnej obrony.

My nocowaliśmy w naszym własnym domu, śpiąc w ubraniach, niekiedy na poddaszu. Ojciec miał zawsze broń palną, w różnym czasie różną, co najmniej karabin, pistolet i skrzynkę granatów, które w nocy leżały na strychu obok worków z kukurydzą. Nieco powyżej w dachu przygotowane były otwory dla ostrzału, jakie w każdej chwili można było wykonać przez usunięcie kilku dachówek.

Sprawujący wartę mieli zwykle siekiery dla bezpośredniej obrony. Raz, pewnej księżycowej nocy, gdy byłem na takiej warcie, zobaczyłem po drugiej stronie potoku przemykające się sylwetki. Za potokiem była łąka, otwarta przestrzeń i właśnie stamtąd jedynie mogliby się podkraść napadający. Uderzyłem w gong kilka razy, od razu odezwał się też gong na drugim końcu ulicy. Lecz mój tato, będący kilkanaście metrów ode mnie zawołał „cicho!” i natychmiast zamilkliśmy. Za chwilę wyjaśniło się, że to biegli sąsiedzi z naprzeciwka, ojciec z synem, którzy gdzieś zasiedzieli się i wracali do domu prawie o północy. Zaś za nie wiele minut zawitał do nas mały oddział AK z centrum miasta, kilku uzbrojonych młodzieńców, którymi dowodził Adaś, kolega mej siostry z ich

„paczki”.

Broń palną na początku okupacji kupowało się, zwykle bez większej trudności, od Węgrów, którzy stacjonowali w mieście. Później głównymi dostawcami byli żołnierze niemieccy. Mój ojciec miał w tej dziedzinie spore osiągnięcia. Jak się dowiedziałem dopiero wiele lat później, skupował broń dla lokalnego oddziału AK.

Znając świetnie język niemiecki, wciągał pojedynczych Niemców w dłuższe rozmowy. Jeśli zorientował się, że rozmówca narzeka na swój los, złorzeczy na wojnę i Hitlera, to proponował delikatnie zakup broni. I często transakcje dochodziły do skutku za tytoń, bimber, kielbasę czy pieniądze. Oczywiście nawet w rodzinie nic nie wiedzieliśmy, ojciec zresztą nigdy nie był gadułą i potrafił utrzymać tego rodzaju sprawy w absolutnej tajemnicy.

W związku z tym „obrotem” bronią, mama przeżyła raz chwilę grozy. Pewnego dnia, będąc sama w domu, wpuściła nierozważnie uzbrojonego żołnierza niemieckiego, o coś pytającego, czy potrzebującego. Gdy już wszedł do sionki, zorientowała się, że na drzwiach wejściowych wisi karabin. Wiele nerwów kosztowało ją, żeby, zastaniając sobą ten nieszczęsny karabin, wyperswadować Niemcowi gestykulacją oraz we wszystkich słowiańskich językach, aby sobie poszedł.

W pierwszych miesiącach 1943 r. Niemcy i Włosi wyparci zostali ostatecznie z Afryki, której całe północne wybrzeże od Atlantyku po Egipt opanowali Anglicy i Amerykanie. W lipcu ich wojska wylądowały na Sycylii, a następnie na półwyspie Apenińskim, zajmując jego południową część po Neapol. Jednakże po kapitulacji Włoch, kraj ten okupowany został przez armie niemieckie, które zatrzymały wkrótce dalszy pochód aliantów. W 1943 r. Niemcy utraciły też swą inicjatywę w wojnie przeciwko flotom sprzymierzonych na Atlantyku, a ich miasta i ośrodki przemysłowe w coraz większym stopniu obracane były w ruiny przez bombardowania lotnicze. Na froncie wschodnim Niemcy hitlerowskie również poniosły szereg porażek w kolejnych wielkich bitwach pod Stalingradem, Charkowem, Leningradem, Kurskiem i Kijowem. Równocześnie w całej okupowanej Europie rozwijał się i potęgował zbrojny ruch partyzancki przeciwko terrorowi nazistowskiej Rzeszy.

Co najmniej od połowy roku stało się dla nas Polaków widoczne, że Niemcy wojny nie wygrają. Przegrywali wszak i cofali się na wszystkich frontach, zwłaszcza na froncie wschodnim. Zbliżał się on do nas coraz bardziej. Słyszeliśmy też wiele o nasileniu partyzanckich akcji, skierowanych głównie przeciwko liniom komunikacyjnym i transportom kolejowym. Niemcy wzmocnili swe posterunki na stacji kolejowej, zaś w pociągach wojskowych przed lokomotywą doczepiano wagon-łorę, wypełniony kamieniami, który miał przejąć na siebie wybuch partyzanckiej miny.

W lipcu w pobliżu miasta przeszły wielotysięczne oddziały zgrupowania partyzanckiego Kowpaka w swym rajdzie z Wołynia do Karpat Wschodnich. W obawie, że oddziały te wejdą do Monasterzysk, na kilka dni miasteczko zostało ewakuowane przez administrację i żandarmerię niemiecką oraz policję ukraińską, którzy po prostu uciekli do Stanisławowa.

W tym mniej więcej czasie dotarła do nas wiadomość o śmierci premiera polskiego rządu emigracyjnego generała Władysława Sikorskiego w katastrofie lotniczej w Gibraltarze. Wszyscy Polacy byli bardzo poruszeni tym tragicznym wydarzeniem i przez długi czas snuto potem rozmaite domysły na temat przyczyn utonięcia samolotu, na którym generał wracał z Afryki do Londynu, tuż po jego starcie z lotniska wojskowego Gibraltaru. Dziwne, że po upływie 50 lat od tego wypadku władze brytyjskie nie ujawniły opinii publicznej akt przeprowadzonego wówczas śledztwa, lecz przedłużyły ich tajemność o dalsze pół stulecia.

Po latach mam własną hipotezę w sprawie przyczyn katastrofy gibraltarskiej, ukształtowaną na podstawie książkowych relacji osób z otoczenia gen. Sikorskiego. Mianowicie w Anglii w tym czasie istniały wielkie niedobory żywności w ogóle, zaś owoców i używek w szczególności. To też wracający do Londynu oficerowie, towarzyszący Sikorskiemu, również jego córka, a także inni pasażerowie, mieli wszyscy wielkie bagaże, załadowane zwłaszcza tymi kolonialnymi towarami. Z trudem upakowano je w ładowniach samolotu. Poza tym była piękna pogoda bez „nośnego” wiatru, zaś samolot prawdopodobnie zbyt szybko oderwał się od pasa startowego, który wchodzi w morze i jest wyjątkowo krótki. W rezultacie przeciążony Douglas, zamiast wznosić się do góry, zaczął opadać w dół i uderzył w taflę wody Cieśniny Gibraltarskiej. Po czym przeleżał się i zatonął.

Ta moja własna legenda katastrofy i śmierci gen. Sikorskiego jest bardzo prosta, chyba logiczna i najprawdopodobniej zgodna z rzeczywistością. Jednakże raczej nie do przyjęcia przez tych wszystkich, którzy wszelkie zdarzenia, zwłaszcza politycznej rangi, przywykli oceniać wyłącznie według spiskowej teorii dziejów.

Po ukończeniu 17 lat musiałem wyrobić sobie dowód osobisty, czyli kennkartę. Odbite w niej zostały odciski palców wskazujących obu dłoni i zamieszczone zdjęcie, jakie fotograf wykonał mi na Rynku. Wyglądałem na nim jak zbój spod ciemnej gwiazdy.

Wczesną wiosną 1944 r. front przybliżył się gwałtownie i jakby nieoczekiwanie. Zaś wejście Rosjan do miasta w końcowych dniach marca dokonało się zupełnie nietypowo. Nie było żadnych nalotów, wycofywania się jakichś większych oddziałów niemieckich, wysadzania mostów lub tp. Normalny dzień, trochę jakiejś strzelaniny i nagle ktoś biegnie ulicą i krzyczy „Rosjanie w mieście!”.

Pobiegłem, wraz z innymi, do szosy przy fabryce tytoniu. Zobaczyłem tam rzeczywiście kilku młodych żołnierzy rosyjskich, z pepesami zawieszonymi na sznurkach, na małych, niepozornych konikach. Takie jakby niepoważne wojsko. Wyjaśniło się szybko, że miasto zostało zajęte nie przez regularny front, lecz konne oddziały partyzanckie, które przeszły bokiem, lasami, od strony Tarnopola. Natomiast główne siły rosyjskie znajdowały się daleko, w rejonie rzeki Zbrucz, gdzie pod Kamieńcem Podolskim okrążonych zostało 20 dywizji niemieckich.

Minęły dwa dni i właściwie nic się nie działo. Nagle w trzecim dniu zaroilo się od wojska, jak w ulu. Od rana żołnierze i cywile zaczęli z dwóch stron naszego domu kopać śpiesznie rowy strzeleckie, w rejonie stacji przemieszczały się oddziały konne, a na naszej ulicy wszędzie było pełno Rosjan na kwaterach. U nas, na podwórku, czyszczenie broni, w kuchni mama gości kilku żołnierzy jakimś posiłkiem i wymienia tytoń na „drugi front”, czyli na mięsne konserwy amerykańskie. Teraz ojciec jest niemową, natomiast mama swobodnie rozmawia po rosyjsku.

Ja pętałem się po ogródku, gdy jakiś młody żołnierz zawołał mnie do siebie. Gdy podszedłem do niego, dał mi swą świeżo przeczyszczoną pepeszę, mówiąc: „pastrielaj malczik!”. Ja żadnej broni się nie brzydziłem, przycisnąłem mocno pepeszę do ramienia i wystrzeliłem serię kilku pocisków w powietrze. Nawet nie poczułem specjalnie odrzutu. Było to moje pierwsze, jak również i ostatnie ostre strzelanie w życiu w ogóle.

Około godziny drugiej po południu tuż nad naszym domkiem i stacją kolejową przeleciał nisko dwupłatowy kukuruźnik. Kukuruźnikami nazywało się powszechnie radzieckie dwupłatowe samoloty wielozadaniowe, głównie jednak zwiadowcze. Mogły one lądować na bardzo małej powierzchni, na niedużej łące, nawet na polu kukurydzianym, stąd ich nazwa.

Za godzinę zrobił się wielki ruch tuż za stacją kolejową. Zaczynało się tam nieduże osiedle-przedmieście, złożone z kilkudziesięciu domków. Z pierwszych uliczek, z ogro-

dów i sadów, z wielkim pośpiechem wyjeżdżały, zaprzęgnięte w pary koni, dziesiątki dział. Również na stacji jakby było mniej kawalerii.

Przed wieczorem, gdy jeszcze było widno, usłyszeliśmy warkot samolotów. Od północy nadleciała eskadra siedmiu niemieckich, jednosilnikowych bombowców nurkujących „Ju-87”, zwanych powszechnie sztukasami. Za chwilę rozwinęły się one w linię i rozpoczęły, pikując ze świstem, bombardowanie terenów za stacją kolejową. Zmasakrowały całkowicie te właśnie uliczki i ogrody, gdzie niedawno rozlokowane były baterie artylerii radzieckiej. Oczywiście ten kukuruźnik popołudniowy z czerwoną gwiazdą, to musiał być samolot zdobyty i pilotowany przez Niemców.

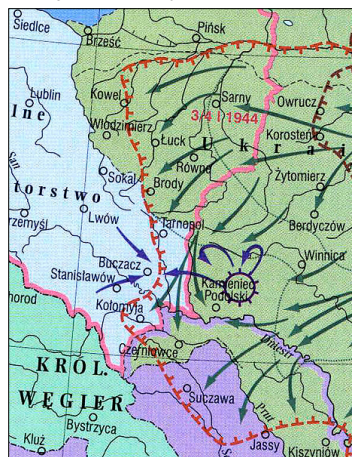
Wszędzie było dużo wojska. Żołnierze siedząc w okopach, czy schowani za murami domów, strzelali ze swych pepesz do bombowców, ale bez widocznego rezultatu, gdyż samoloty były opancerzone. Schroniliśmy się na początku nalotu do sąsiedniego budynku, nieco solidniejszego od naszego. Tam w piwnicy siedziało kilkanaście osób, zbitych w gromadkę. Jakaś kobieta lamentowała, niektórzy się modlili. Ojciec stał przed wejściem do tego pomieszczenia piwnicznego, które z tej strony wychodziło na poziom ogrodu i, paląc papierosa, obserwował spokojnie niecodzienne widowisko.

Samoloty nadlatywały znad naszego budynku, pikowały, zrzucały bomby 200- 400 m od nas, po czym zakręcały w lewo, robiąc kolejne okrążenie. Po kilku okrążeniach, gdy pozbyły się bomb, sztukaszy zaczęły ostrzeliwać z karabinów maszynowych stację kolejową oraz tory i łąkę, po której pędziły we wszystkich kierunkach dziesiątki koni. Stałem za ojcem i do dzisiaj mam w oczach ten cyrk powietrzny, wybuchy i te biedne konie. Tato przepędził mnie, gdy rozpoczęło się ostrzeliwanie z karabinów maszynowych. W wyniku nalotu zginęło kilkunastu mieszkańców bombardowanego osiedla, zabitych zostało dziesiątki koni, ale bodaj żaden żołnierz rosyjski. Po prostu wiedzieli jak, i w jakim momencie, chować się przed bombami. Zaraz potem żołnierze odeszli z kwater i po pewnym czasie zrobiło się jakoś cicho, co bardzo nie podobało się rodzicom. Położyliśmy się do snu w ubraniach. Oczywiście, co ważniejsze rzeczy, dawno spakowane, pochowaliśmy już wcześniej w piwnicy.

W nocy, na kilka godzin przed świtem, rozpoczął się rzadki ostrzał artyleryjski miasta. Słychać też było szum motorów od strony Góry Buczackiej. Stamtąd więc jechały czołgi ostrzeliwujące miasto. Niebawem usłyszeliśmy gardłowe nawoływania po niemiecku. Tyraliera żołnierzy po ciemku, świecąc latarkami elektrycznymi, szła przez ulice i ogrody. Nie było żadnej walki, nikt się nie bronił w świeżo wykopanych okopach. Najzwyczajniej Rosjanie opuścili miasto, wracając w te same lasy, którymi przedtem przyszl.

I znów byliśmy pod panowaniem niemieckim. Lecz sytuacja była już inna, teraz już stałe w mieście rozlokowane były oddziały wojskowe. Wrócili Niemcy, ale równocześnie przybliżył się front wojenny.

Za kilka dni ponownie zaroїło się od wojska, którego było zapewne znacznie więcej niż mieszkańców. Trafiło do nas na kwaterę 6-8 Niemców, zajmując oba pokoje, my spaliśmy w kuchni. Otóż te oddziały, które odbiły Monasterzyska, wchodziły w skład dwóch dywizji pancernych, ściągniętych z Zachodu w celu odblokowania okrążonej armii niemieckiej pod Kamieńcem Podolskim. Zaś ci, co teraz chmarą obsiedli miasto, to byli szczęśliwcy, którzy wyszli właśnie z tego okrążenia i regenerowali swe siły i kondycję na kwaterach za frontem.



Atak na Buczacze

Kwaterujący u nas żołnierze kapali się w beczce z gorącą wodą, prali swą bieliznę i iskali wszy z koszul, siedząc na ławce w ogrodzie. Jednemu z nich ojciec powiedział, że ma wszy wielkie jak „Hackenkreuz”. Ten obruszył się i zrobił ojcu dziką awanturę.

Pamiętam też kilka innych scen z tych kwater. Byłem w kuchni, pomagając mamie w gotowaniu posiłku dla żołnierzy, którzy siedzieli gęsto wokół stołu. Coś jedli i pili, zachowywali się bardzo hałaśliwie. W pewnym momencie jeden drugiemu odsunął krzesło, gdy ten wstał na chwilę. Siadając, żołnierz runął na podłogę, po czym zerwał się, złapał to krzesło i zamachnął z wściekłością na kolegę. Bijatyka wydawała się nieunikniona. Lecz znów mój ojciec był na miejscu, wyskoczył z sąsiedniego pokoju i złapał mocno za to nieszczęsne krzesło i krewkiego wojaka za rękę, krzycząc coś po niemiecku. Sytuacja się rozładowała.

Tu muszę powiedzieć, że w kontaktach z Niemcami, tato prawie zawsze chwalił się i pokazywał swój żelazny krzyż z I wojny światowej. Dostał go za wyniesienie z pola walki pod Fort Douaumont, spod ostrzału artyleryjskiego, rannego majora niemieckiego. Niemcy byli bardzo wyczuleni, żeby nie powiedzieć bałwochwalczy, w stosunku do wyższych odznaczeń wojskowych. Widziałem wielokrotnie, że po takiej prezentacji od razu odnosili się do ojca z wyraźnym szacunkiem. Poza tym żołnierze przeważnie byli młodzi, zaś ojciec miał ponad 40 lat, był krzepki i bardzo silny.

Ta sympatia do ojca miała też zrozumiałe podłoże psychologiczne. Otóż żołnierze niemieccy przez całe miesiące nie mieli szans na zwyczajne, ludzkie porozumiewanie się z napotkaną ludnością. Poza oczywistą wrogością, istniała nieprzekraczalna bariera językowa. Sami znali niewiele słów rosyjskich, czy polskich, jak „mliko, jajka, kura, Iwan, dawaj, prendko” itp. Zaś tubylcy rozumieli jedynie takie słowa niemieckie, jak „Brot, Butter, Tabak, Schwein, raus, schnell, bitte, Strasse” oraz kilka innych.

A tu nagle, na swej kwaterze, mogli swobodnie porozmawiać w swoim własnym języku. Zapytać, gdzie właściwie są, jak wielkie miasto, czy jest kino, gdzie można kupić papierosy itd. Mogli mówić o swych stronach ojczystych, zaś jak znalazł się jakiś wojak z Westfalii, gdzie ojciec przebywał kilka lat - to nie było końca wspomnieniom, oczywiście przy kieliszku bimbrowi i odpowiedniej zakąsce. Żołnierze prawie zawsze starali się odwdziżyć za kwaterę. Płacili pieniędzmi, zapalniczkami, wiecznymi piórami, żołnierskimi butami. Te ostatnie mieli zapewne po zabitych kolegach.

Wojsko na kwaterach ciągle się zmieniało. Pamiętam, jak raz ojciec z niemieckim podoficerem stali przed domem i patrzyli przez lornetkę na egzekucję kilku wylapanych Żydów, dokonywaną na cmentarzu żydowskim, widocznym z odległości kilkuset metrów. Ja nie mogłem patrzeć i uciekłem do domu. Zaś wzburzony Niemiec mówił głośno, że takim postępowaniem Hitler wojny nie wygra.

Po kolejnej zmianie zakwaterowanych u nas żołnierzy, miałem im przynieść wiadro wody z potoku. Robiłem to bardzo powoli, gdy jeden z nich wyszedł przed drzwi na schody i zaczął mnie z krzykiem popędzać. Ja nadal chyba guzdrałem się, on cofnął się do przedpokoju, wrócił z karabinem i wycelował we mnie z odległości ok. 7 metrów. I znów ojciec wyskoczył z sionki, złapał od tyłu za karabin, wyrwijąc go Niemcowi i krzycząc, jak ongiś: „Das ist mein Sohn!”.

No i jak taka scena mogłaby się zakończyć, gdyby ojciec nie mówił perfektnie po niemiecku, gdyby nie budził respektu fizycznego i nie budował wcześniej swego autorytetu krzyżem żelaznym, czy innymi wspominkami z I wojny światowej oraz wieloletniego pobytu w Niemczech.

Od połowy kwietnia słyszeliśmy daleki huk armat. To front przybliżył się do nas na odległość ok. 20 kilometrów i następnie ustabilizował się na kilka miesięcy na linii rzeki Seret i miasta Buczac. Zostało ono poważnie zniszczone, zaś większość ludności

uciekle, zatrzymując się częściowo w Monasterzyskach.

Od tego mniej więcej czasu rozpoczęły się prawie conocne bombardowania miasta. Gdy tylko była pogodna noc, nad miasto nadlatywały pojedynczo, na niedużych wysokościach, rosyjskie kukuruźniki, tym razem w charakterze nocnych bombowców. Niekiedy na tle nieba, w świetle księżyca, widać było ciemne sylwetki maszyn. Leciąły one z jednostajnym terkotem i po oświetleniu terenu przez flary, spływające powoli na spadochronach, zrzucały pojedyncze bomby.

Te samoloty zabierały tylko małe bomby, właściwie granaty oraz bomby zapalające, które pilot wyrzucał przez burtę. Nie mogły więc one zrobić jakiejś większej szkody. Ale były bardzo celne, bo zrucane były z wysokości kilkudziesięciu metrów i przy małej szybkości samolotów.

Główną rolą tych nocnych bombowców było oddziaływanie psychologiczne na bombardowanego przeciwnika. Dlatego Niemcy nazywali te samoloty „Nervensäge”, jak również „Drehmaschine”. Strzelali niekiedy do nich świetlnymi pociskami z karabinów maszynowych, ale wtedy wyłączały one silniki i dalej leciały bezszelestnie, by po kilkuset metrach na prawo, czy lewo, znów włączyć silniki. Zaś za chwilę, znów bezszelestnie, nadlatywały nad miejsce skąd były ostrzeliwane i zrzucały swe bombki. Specjalnie bombardowana była stacja kolejowa i wagony na torach. Między innymi spłonął duży drewniany magazyn, jaki Niemcy wcześniej wybudowali, oraz rozbitych zostało wiele wagonów.

Te bombowce dawały się, oczywiście, bardzo we znaki również ludności cywilnej. Wielekroć z nastaniem nocy, kryłem się w okopie koło naszego domu i biegałem z jednego końca na drugi, w zależności od tego z której strony dochodził warkot samolotu.

Raz, to nawet wybraliśmy się w dwójkę, z kolegą Jurkiem, na noc za miasto, żeby przespać się spokojnie na jakimś odludziu. Rzeczywiście, znaleźliśmy jakąś samotną stodołę, było tam już kilkanaście osób, błędzących jak my. Ale ledwo umościliśmy sobie legowisko, rozległ się jeden, drugi warkot, huk bomby i niedaleko zapłonął jakiś obiekt, czy stóg siana. Nigdy więcej nie ryzykowałem takich nocnych spacerów i raczej spałem w piwnicy. Oczywiście w słotne noce mieliśmy święty spokój. I tylko armaty mruczały gdzieś daleko na wschodzie.

W dzień zdarzały się naloty pojedynczych lub kilku samolotów szturmowych. Przelatywały jak błyskawica na małej wysokości nad miastem i strzelały z armatek i karabinów maszynowych w upatrzone miejsca. Te szturmowce Niemcy nazywali „Schwarzes Tod”, gdyż rzeczywiście były groźne i pomalowane na czarno.

Raz miałem wrażenie, że pilot mnie wziął na celownik. Kręciłem się swobodnie po podwórku, bo samolot odleciał i był już daleko, gdy nagle bezgłośnie wrócił niziutko nad ziemią i splunął serię pocisków, które zaświstały mi jazgotliwie nad głową. Huk przelatującej maszyny usłyszałem z opóźnieniem, kiedy już uskokczyłem za róg domu.

Mijały tygodnie i miesiące i co raz powszechniej Polacy w mieście stawiali sobie pytanie: co dalej robić? Z jednej strony stała obecność dużych ilości wojska oraz budowane linie obronne świadczyły, że gdy ruszy front, to miasto może bardzo ucierpieć. Wszyscy mieliśmy w tym względzie przykład Buczacza. Z drugiej strony stało się coraz bardziej jasne, że będzie tu z powrotem radziecka Ukraina, a nie Polska, o której mówiło się, że zostanie przesunięta na zachód.

Baliśmy się też nadal pogromów ze strony nacjonalistów ukraińskich. Wprawdzie w tym czasie się uspokoił, ale raczej tylko dlatego, że wszędzie było pełno wojska i to frontowego, które nie bawiłoby się z uzbrojonymi bandami w jakieś gry polityczne.

My swe pola obsialiśmy, była krowa, dom - trudno było zdecydować się na pozostawienie tego wszystkiego i wyjechać z Monasterzysk. A właśnie od maja Niemcy

zgadzali się na wyjazdy Polaków, bez żadnych utrudnień i ograniczeń, zabezpieczając na ten cel kryte wagony kolejowe. I oto rozpoczął się masowy exodus ludności polskiej. Przede wszystkim wyjeżdżały rodziny, mające krewnych w zachodnich województwach GG, ale również, coraz więcej rodzin wyjeżdżało po prostu w nieznane.

My faktycznie mieliśmy gdzie jechać. W Kępnie posiadaliśmy własny dom, zaś w okolicy liczną rodzinę ojca. Oczywiście nie wiedzieliśmy, co się z nimi dzieje, niektórzy byli wysiedleni ze swej ziemi. Jednakże ten cel podróży nie wchodził dla nas w rachubę, gdyż do Reichu Polakom nie wolno było jechać.

Rodzice zdecydowali się jednakże wyjechać. Wpierw, w połowie maja, pojechała siostra, zabierając się ze znajomymi, którzy udawali się do krewnych w Jordanowie. Zaś na początku czerwca wyjechaliśmy w trójkę - rodzice ze mną. Otrzymaliśmy jeden kryty wagon towarowy dla nas i sąsiadów pp. Skrzypków, dwuosobowej rodziny. Pochowali oni niedawno swego 10-letniego syna, który pasąc kozę, zginął od wybuchu miny.

Mogliśmy zabrać wszelkie rzeczy bez szczególnych ograniczeń, nawet meble i zwierzęta domowe. Faktycznie, prócz ubioru, pościeli, sprzętu kuchennego zabraliśmy również stół, krzesła, łóżka składane, rower i kozę. Jednakże większość mebli, krowa pozostały.

Przed wyjazdem zakopaliśmy nocą, w środku ogródka, posiadaną broń, a to dużą skrzynię ciężkich granatów obronnych i 4 karabiny typu „Mauser”, które dokładnie naoliwiłem i owinąłem w również naoliwione szmaty. Naboje karabinowe powtykałem do kilkunastu butelek, jakie, po szczelnym ich zakorkowaniu, powbijąłem w muł dennej potoku dnem do góry.

Na podróż mama uśmierciła prawie wszystkie nasze kury i posmażyła je, upiekła też kilka bochenków chleba. Zabraliśmy także sporo innych produktów żywnościowych. Oczywiście również trochę słomy i siana, na wymoszczenie legowiska w wagonie.



Widok Monasterzysk z Góry Buczackiej. Stan obecny